Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 17. Września Nr. 34.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

De profundis.

Za górami nikło słońce. Złoty rąbek zmniejszał się, malał, zapadał. Pozostała łuna purpurowa, cały zachód wypełniająca; powoli czerwień ustępować poczęła, gubiły się złote jej żyły ciemniały — na czerwonem tle ukazały się skrawki szarawo, zdążające ku środkowi, potężniejące, olbrzymiejące w barwę jednostajną.

Gdzieś z pod dachu wypadł nietoperz, rozejrzał się, uderzył w błoniaste wachlarze i rozpoczął łowy.

Szedł wieczór. Uroki wiosny patrzały z każdego zielonego liścia, z kwiatów łąk, płynęły z pieśnią ptactwa zasypiającego w konarach drzew gaju, leciały w świat z szumem boru, dźwięczały falą strumienia, płynęły z przeczystym dźwiękiem wiejskiego dzwonu, co na Anioł Pański ziemi i niebu grał.

Ale większa wiosna była na twarzy Wojtka Piastuna co szedł ścieżyną do Dębowy. Śmiały mu się oczy siwe, śmiały się do każdego jaskra przy drodze, każdego konara, co mu nad uchem brzęczał. Szedł promienny po pracy dnia do ukochania swego. Okrutnie się dużo wycierpiał ale dziś — dziś pan on największy. Nie mieniałby się z królem ni, mocarzem. Zeszłej soboty kochanie to jego dało mu ust do pocałowania i powiedziało: Nie da mnie ojciec, to nie da. Żadnego nie miłuję ino ciebie, to twoją będę.

Oj, ojciec! ojciec! Wojtek się srodze zafrasował, myśląc o nim. Niby to chłop dobry a taki opatrzny. Dziadem go nazwał i po łbie obiecał dać, jak do córkiząchodzić będzie. Ciężkie myśli go tłuc poczęły. A no! dziadem — ale mnie dziewczyna kocha, nie kogo. I na myśl o swojej dziewczynie serce tłuc mu poczęło, jakby obuchem po piersi go walili. Straszna markota go wzięła.

Za cóż ty mnie kochasz złoto moje? Ani-m pan, ani-m dostojnik, a ty mnie masz za najlepszego. Stanął dla lepszej kalkulacji i dalej prowadził swe logiczne wywody. Stanęło mu w pamięci, jak ją raz przez kry przenosił i włosów jej odgryzł kosmyczek. Pamiętał, jak w karczmisku nią w tańcu wywijał i ostatniego cwangygiera na muzykę dawał. Ej! rznęła ci kapela, aż we łbie huczało. Ale lepiej huczało, jak Trześniaka szklannicą zawadził. A bo i pocóż dziewczynę na trunek napraszał? Ale tego już nie pamiętał, jak go potem przyjacioły pokrwawionego nad rzekę nieśli — jak go babka tygodniami mastygą smarowała. — Uśmiechał się. Piękne czasy! dumał

Łuny na niebie już dawno nie stało. Sklepienie było szmaragdowe, zasiane złotymi punkcikami. Ludzi coraz rzadziej spotykał. Dochodził do lasu.

Między drzewami noc już była wielka. Chłop znał drogę znakomicie; skręcił w ścieżynę jedną i parł naprzód. Czasem go gałęź po twarzy uderzyła — czasem o korzeń zawadził! Szedł.

Z lasu nocne ptaki wołały. Wojtek słuchał, płótł co raz częściej i mruczał: Zczeźnij! Przy drodze jak spadłe gwiazdy lśniły świętojańskie chrząszczyki.

Gęstwina rzedniała. Ukazało się czyste pole. No! już niedaleko.

Poprzed nim zamajaczyła sylwetka człowieka.

— Niech będzie pochwalony!

Wojtka wstrzęsło. Znał ten głos. Brzmiał mu on w uszach od czasu, gdy powiedział: „Nie dla ciebie Bronka się chowa".

— Na wieki! Stanęli przed sobą.

— To ty, Wojtku?

— Ja.

— Dokądże?

— Do Dębowy na święto — Z Bogiem.

— Wojtku! Ta ani pogadasz, ani pomówisz. Czemusiś na mnie markotny, a Bóg widzi, nie masz czego.

— Nie kwaśnym — ale mi rychli.

— Na czas zajdziesz. — Dziewczyna nie zginie.

— Dziewczyną se zębów nie przecieraj.

— Toć ja wiem że ona twoja. — Gniewać nie mamy się o co.

Szli razem i milczeli oba. Ale w Wojtku poczciwość poczęła brać górę. Przyznaję, dumał, że moja, juści chłop on niezły.

— No Wojtku! nie gniewajmy się.

— Ta nie.

Wieś do której się zbliżali do snu się pokładała. Gasły ogniki w szybkach, odzywały się psy z łańcucha spuszczane.

— No, to na zgodę. Klemens dobył flaszy wyciągnął zwitek papieru, którym była zatkana i do ust przytknął.

— Na dobrą. Wojtek pociągnął raz i drugi. Ostra, rzekł.

— Czysta para, daj Boże!

— Daj Panie.

Pociągnęli znowu, potem wzięli się za ręce pożyczyli nocy i rozeszli.

Szedł jak w tańcu. Same mu nogi latały. Wojtka wesołość nań padła. Siarczysta para; Klemens pan, pewnie na codzień taką pija. Oj! Klemens musiało go ominąć. Jak na wilka patrzał, ubić obiecywał a tak zadrżał nagle. Serdeczny chłop.

Dumał zwolniwszy kroku. Nie ino go ominęło.

W głowie robiło mu się coś niewyraźnie, ale chwalił.

Hej! coś mu w oczach mroczy. Przecież wieś tuż, tuż była — gdzieś nie dobrze załazł. Stanął — rozglądać się począł. Ta tu! Ukłuło go raz i drugi pod piersiami — w głowie huczało jak w chlebnym piecu. I nóg nie stawiał jak należy.

Począł go brać lęk okrutny, a w gardle, jakby rozżarzonych nałykał się węgli. — Usiadł.

Z za lasu podnosiła się tarcza miesięczna. Rozlało się po świecie srebro roztopione, chwytało gałązek brzozy i sosnowych szpilek. — oblepiało kłos każdy, każdą trawę.

I padło na twarz chłopa, co na trawie leżał; padły promyczki na oczy szeroko otwarte, szklane, na twarz tę dobrą, na usta, które kochanie całowało.

Nie dobrze coś z chłopem. Nie jęczy, nie wyje, ale jakiś ból wielki musi mu pruć wnętrzności. Ściska zęby i syczy jak gadzina zgniecona. Potem rozpadły mu ręce i znowu wyciągnęły się szeroko; dyszy ciężko, jakby mu skała na piersi leżała. I myśli. Myśli o tej kochanej, która tam przy wrotach nań czeka i o tem, że czeka nadaremno i że pewnie przykrość jej uczynił. A pocóż pił? Potem padły myśli na starą chatę ojcową; mateńka siwa go czeka, wieczerzę warzy i przędzie. Takie długie, długie nitki-białe jak jej włos, jak księżycowy promyczek. Klemens! serdeczny chłop; mówił, że ona jego i uczęstował jeszcze. A może i ojciec już się udobruchał. Do nóg mu padnie. Niech bije, ale niech da ją. Ją! Na samą myśl o niej uśmiech mu skacze na usta.

Widzi, jak ona idzie ku niemu, zarzuca mu ręce na opalony kark szeroki, on ją do piersi tuli, całuje — przyznaje czemu tak puźno przy chodzi.

Zamknął powieki; sine barwy poczynają mu stroić policzki.

Od wsi piosenka płynie. Niosą ją w przestwór przeczysty wietrzyku podmuchy. Umilkła słowicze romanzera, co brzmiało z olchowych zarośli, umilkły głosy leśnych puszczyków i ligawki smutne jęki.

Płynie piosneczka coraz bliżej pod ten strop lazurowy. co ziemię otula, pod te ogniki, co jej przyświecają.

Marniejące powieki konającego chłopa rozwarły się.

Buchnął żar z tych łagodnych, siwych oczu, otwarły zsiniałe usta i jęk z nich się wydobył — ostatni.

W tym jęku skrystalizowane minęło życie.

I znowu rozpoczął słowik swe pieśni — księżyc żeglował dalej po szerokim stepie i chwiały się kłosy.

Liwocz.

Komunały.

Ogień palił się na kominku. Dwóch mężczyzn patrzyło weń z zadumą, aż jeden z nich rzekł:

— O czemże tak posępnie?

— Wcale nie jestem posępny, tylko, słysząc i czytając codzień jedne i te same przysłowia, utarte sposoby mowy, jednem słowem „komunały“, nawskróś fałszywe albo osłaniające coś innego, dochodzę do przekonania, że ludzie lubią uchodzić za naiwnych.

Przypomnij sobie niektóre z nich, naprzykład:

Bez komentarzy. Napisawszy, albo powiedziawszy dwa te wyrazy, chcemy wmówić w innych, że nic już w danej kwestji dodać nie trzeba, gdyż jest aż nadto wyświetlona. A tymczasem bez komentarzy właśnie i objaśnień ani rusz, poprostu jesteś, jak tabaka w roku.

Albo; *Nudny bardzo, bardzo głupi. ale dobry.* Z pewnością jest to skończony idjota albo źle wychowany, niedelikatny i mściwy, ale weszło w zwyczaj oszczędzać go na tym punkcie, że jest dobry. Gdy się już powie dwa pierwsze przydomki: idjota i źle wychowany, dlaczegóż nie dać na osłodę przydomka dobry.

To... *ludzka rzecz.* Komunał oznaczający pretensję do psychologji, a w rzeczywistości nie oznaczający nic, a nic, czasami zaś osłaniający czyn pospolity i brzydki.

Zaledwie cień został z niego. Tak mówią zazwyczaj niedołężni starcy o innym, którego niedołęstwo chcą wykazać.

Talent jego osłabnął. Tak pisze zazwyczaj kolega autor, o koledze autorze, przyczem nie szczędzi mu współubolewania i nadziei, że może, się jeszcze wzmocnić kiedy... zapewne wtedy dopiero, gdy się okaże dla niego nieszkodliwy.

Bardzo miły, jeżeli chce nim być. Tak się mówi o człowieku bardzo bogatym albo z wysokiem stanowiskiem, jakkolwiek powszechnie jest wiadomem, że ten wielki jegomość nigdy miłym być nie chce.

Wielka pani, aż do końców paznokci. Mówi się zazwyczaj o tych paniach, o których nic

totnie zasługującego na pochwałę powiedzieć się nie da.

Bądźcobądź, ma on duży talent. Bądźcobądź znaczy, że autor ten nie ma żadnego powodzenia i prawdopodobnie nigdy mieć go nie będzie.

Ta książka *ciężko pisana, ale interesująca*. To znaczy że nigdy nikt jej czytać nie będzie miał odwagi.

Ojciec jego był człewiekiem wielkich zasług. Czytaj: że syn nie ma żadnych.

Autor sympatyczny. Znaczy, ze talentu nie ma on wcale, pisać dobrze nie będzie nigdy, umieć nie wiele umie, ale z tego też powodu nikogo nie zaćmi, więc nikt mu nie ma powodu zazdrościć, czyli że jest sympatyczny.

Ta pani *nieładna, ale bardzo przyjemna*. W jaki sposób.

Niedowcipny i nieruchawy, ale ma dużo zdrowego rozsądku. Czytaj: nudny, nieznośny i niemożliwy.

Teatr na przedstawieniu p. t.... „zapełniony był po brzegi". Niewiadomo, gdzie są te „brzegi", ale wyrażenia tego używają stale przyjaciele autora, o którym bez pomocy takich sztuczek nikt nigdy nicby nie wiedział.

Pisarz *z Bożej łaski*. Francuzi mówia natomiast „écrivain de race". Przeciw tak silnemu wyrażeniu, do którego bez ceremonji wmieszano Pana Boga, nikt się już chyba odezwać nie ośmieli; jest to najsilniejsza pochwała, dana autorowi, który jako autor z Bożej łaski, może pisać bzdurstwa jedne po drugich z najczystszem sumieniem, boć przecie przez samo nazwanie się stał się nieomylny.

X ma najlepsze chęci. Znaczy, że robi wszystko jaknajgorzej, wchodzi każdemu w drogę, sprawia nieład i wywraca wszystko do góry ale są pewne względy, wymagające ostrożności w mówieniu, mówi się przeto z wyłamaniem, że ma najlepsze chęci.

Bardzo lichy człowiek ale on przez długi długi czas był tak ubogi. Czytaj: musi się teraz odreparować, nie przebierając w środkach.

Baronowa Y ma ręce prawdziwej patrycjuszki. Co znaczy: że tylko ręce, bo reszta nie warta wspominku.

Przeszedł samego siebie. Wyrażenie to niezawsze jest pochwałą. Jeżeli zaś ktoś może przejść może ktoś samego siebie, to żałować przychodzi, że tego zawsze nie czyni.

To jest w stylu. Mówią tak zazwyczaj ci, którzy nic innego powiedzieć by nie umieli, a chcą dać poznać, że są głębokimi znawcami.

Prosta, ale szczera natura. Czytaj: gbur nieokrzesany, ale bogaty lub wpływowy.

On ma odwagę swoich przekonań. Nie ma żadnych i dlatego ma odwagę mówić o tem, co go w gruncie rzeczy nic nie obchodzi.

Jakby z jednej sztuki granitu. Znaczy: głowa tępa i ciasna, uparty jak kozieł, nie ustąpi nikomu i w tem widzi swoją chwałę.

On nie mówi czego nie myśli. Ale, że nigdy nie myśli, więc i mówić tego nie może.

Twarz jest brzydka, ale ma wyraz. Po co jej wyraz, kiedy ma usta szerokie i wygadane, z których się leje struga wyrazów.

W obejściu jest gładki. Zgadza się wszystko, o czem do niego mówicie, ale robi tak, jak jemu lepiej.

Ma lekką rękę w interesach. Czytaj: pozwala ci zarobić, byle sam zarobił daleko więcej od ciebie.

Dobrze mu patrzy z oczu. Czytaj: uśmiecha się zawsze do ciebie, jakgdyby miał nadzieję, że mu coś podarujesz.

Wolę z mądrym stracić, niż z głupim zarobić. Fałsz, bo z głupim nigdy się nie zarobi, a z mądrym tylko wtedy, gdy się to jemu na coś przyda.

Pod szorstką skorupą ma miękie serce. Nim się do serca dobierzesz, skorupą ostro cię skaleczy.

Ma artystyczne usposobienie. Lubi dobrze wypić, w karty zagrać i jak najdłużej próżnować.

Magja i spirytyzm

W ostatnim numerze „Aunales des sciences psychiques" znajdujemy ciekawe studjum o roli prestidigitatorstwa w rzekomych fenomenach spirytystycznych Autor tej pracy, p. Hodgson, pozostawał w blizkich stosunkach ze znanym prestidigitatorem Daveyem, który wtajemniczył go w sposoby, jakich używa na posiedzeniach do wywoływania zjawisk, uważanych powszechnie za spirytystyczne, np. pisania na tablicy szyfrowej przybitej pod stołem, pisania na powierzni takiej samej tablicy, związanej pod stołem z drugą tablicą, pisania nn tablicy zamkniętej na klucz i t. p.

W pierwszym wypadku prestidigitator postępuje sobie w sposób następujący!

Wytarłszy tablicę, Dawey umieszcza ją na stole kilka cali od brzegu i kładzie na niej kawałek kredy. Następnie wyjmuje z kieszeni naparstek krawiecki, do którego prztwierdzony jest kawałek kredy, w ten sposób, i kładzie go sobie na palec, np. na czwarty prawej ręki. Wówczas posuwa tablicę do brzegu stołu, wsuwa w dłoń ręki palec, do którego jest przymocowany kawałek kredy, w ten sposób ażeby był umieszczony pod powierzchnią tablicy, palec wskazujący i średni kładzie pod tablicę, którą powoli zsuwa pod stół, prosząc widza z lewej strony, by tablicę trzymał razem z nim i przykłada ją do spodniej powierzchni stołu. Tym sposobem tablica znika z przed oczu osób obecnych, które widzą tylko ruchy trzymających ją.

Asystent w odpowiedzi na sugestyjne py-

tanie Daveya, mówi jakieś zdanie. Davey palcem, uzbrojonym w kawałek kredy, pisze odpowiedź na spodniej stronie tablicy tak, iż tego asystent wcale się nie domyśla. Po pewnej pauzie wyciąga ostentacyjnie tablicę, by przekonać wszystkich, iż nic na niej nie ma. Widzowie poinformowani, iż pismo ma zjawić się na stronie wierzchniej tablicy, tylko te oglądają i naturalnie nie znajdują nic. Wówczas Davey chowa palec, zaopatrzony w kredę, wyciera powierzchnię tablicy, kładzie na niej palec z wierzchu, by mógł następnie wygodnie odwrócić ją, wsunąwszy pod stół. Nikt nie uważa, iż Davey, wyjąwszy tablicę z pod stołu inaczej położył na niej palce niż piewszym razem i że tablicę pod stołem odwrócił, przez co pismo znalazło się na stronie wierzchniej.

Tablica tedy pod stołem jest już odwrócona; przykładając ją do strony spodniej stołu Davey prosi znów asystenta, by potrzymał ją razem z nim i powtórzył pytanie. Po krótkiej chwili daje się słyszeć skrzypienie, towarzyszące pisaniu. To Davey kawałkiem kredy, którą położył na tablicy, sprzątając ją pod stół, pisze na drugiej stronie odpowiedź na pytanie, którą niebawem postawi sam lub podsunie innym.

W razie, jeżeli zblizka obserwowany nie może dokonać tej manipulacji, magik naśladuje skrzypienie, wodząc na tablicy paznokciem, lub pociera tablicę o spodnią stronę stołu, do której przytwierdził poprzednio kawałek szyfrowego ołówka.

W jakikolwiek bądź sposób szmer, towarzyszący pisaniu, daje sie słyszeć i gdy ustanie widzowie domagają się, by wyjął tablicę i z podziwem odczytują na powierzchni odpowiedź na następne pytanie, jakie magik zada sam lub zdoła podsunąć któremukolwiek ze swych sąsiadów. Operację taką można powtarzać niezliczoną liczbę razy zawsze z dobrem powodzeniem.

Drugi wypadek; Pisanie na powierzchni wewnętrznej jednej z tablic, złożonych razem pod stołem. Pierwszą część posiedzenia zajmuje operacja opisana powyżej. Tablica której strona spodnia jest zapisana, leży na stole. Davey bierze dwie tablice zupełnie do niej podobne i daje do obejrzenia swemu sąsiadowi, które wyciera je, kładzie na jednej z nich kawałek kredy, przykrywa drugą i jak w wypadku opisanym poprzednio, przytrzymując obiema rękami, zsuwa pod stół. Pytanie postawiono: upływa parę minut i szmeru pisania nie słychać. Davey prosi sąsiada, by obaczył, czy nie ma czego napisanego. Sąsiad cofa ręce, Davey bierze tablicę z wierzchu i z pozorną niedbałością kładzie ją obok trzeciej tablicy, leżącej na stole, następnie bierze tablicę niższą, tę na której znajduje się kawałek kredy, wyciera ją serwetą, którą po urzyciu rzuca na tablicę z wierzchnią, kładzie nowy kawałek kredy i przykrywa ją tą tablicę której strona spodnia zawiera juz gotową odpowiedź na pytanie Daveya lub na pytanie zręcznie podsunięte jednej z osób obecnych. Davey powtarza operację z tablicami i znów wszyscy oczekują nadaremnie — skrzypnięcia kredą nie słychać. Davey proponu e, czyby nie należało podtrzymać tablic w powietrzu. Wszyscy zgadzają się. W chwili, gdy Davey mówi jeszcze, asystent puszcza tablice, z któremi można gestykulować. Te ruchy mają na celu obrócenie od spodu tablicy z odpowiedzią. Nowe oczekiwanie. Tym razem słychać skrzyp kredy. Asystent odejmuje wierzchnią tablicę i wszyscy odczytują odpowiedź na niższej.

Trzeci wypadek Pismo na tablicy zamkniętej na klucz.

Davey posiada dwie tablice zamykane na klucz, zupełnie podobne. Na jednej z nich napisał poprzednio odpowiedź na pytanie, które zręcznie podsunie obecnym Zwykle kombinacja nie zawodzi i potrzeba tylko zręcznie zamienić tablice Jeżeli jednak świadek zamiast powiedzieć pytanie głośno, pisze je na tablicy, którą następnie zamyka, wówczas magik ściera zręcznie odpowiedź na tablicy B. i podstawia ją zręcznie zamiast tablicy A. Pod jakimś pretekstem, np. wyszukania kredy, oddala się na chwilę z tablicą A., czytuje na niej pytanie, pisze szybko odpowiedź i tablicę znów zamienia na tablicę B

Na pozór zdaje się, iż wszystko to jest bardzo proste, a jednak ludzie najinteligentniejsi dają się w sposób powyższy oszukiwać. Niezmiernie charakterystyczne są sprawozdania, pisane przez niektórych widzów z seansów odbywanych wobec pana Hodgsona. Śledzą z niezmierną uwagą wszystko, co magik robi, lecz ich zainteresowanie jest tak wielkie, że ruch, którym Davey odwraca tablice, zawsze uchodzi ich uwagi. Owi widzowie, przybierani do pomocy w doświadczeniach, utrzymują stale, iż na chwilę nie wypuścili z rąk tablicy, jakkolwiek uczynili to podczas jednego posiedzenia dwa lub trzy razy, co prawda, na przeciąg czasu bardzo krótki, niemniej przeto aż nadto dostateczny do wykonania podstępnie czynności, przypisywanej zwykle duchom.

NĘDZA.

Jak zimno.. matulu! — Uciszcie się dzieci:
Bóg dobry, narzekać nie trzeba:
Powróci nasz ojciec i ogień rozniecі,
Białego przyniesie wam chleba.
Jam słaba, widzicie, lecz zwlekłam się z łoża
I znoszę cierpliwie wszak wola w tem Boże...
Nie płaczcie, bo czuwa Pan Nieba.
Dziecinko kochana tyś chora i drżąca —
Spojrz na mnie uśmiechnij się mile.
Rączęta jak z lodu, a główka gorąca.
Ach czemże cię biedna posilę?
Przytulę do piersi mojego anioła:
Powróci nasz ojciec, lekarza przywoła:
Czekajmy — on wróci za chwilę:

Na placu, gdzie lud się gromadzi roboczy,
Stał człowiek ubogo odziany,
Wiatr mroźny ze szronem zasklepiał mu oczy,
Rozwiewał podarte łachmany.
On stał nieruchomy, jak posąg z kamienia,
Lecz nikt nie zażądał słabego ramienia;
Padł wreszcie rozpaczą złamany.
W izdebce, pod strychem, bez skargi i jęku
Daremnie na niego czekali:
I skonał chłopczyna na matki swej ręku,
I ludzie trumienkę mu dali.
W niej będzie mu lepiej, skrzydłami śnieżnemi,
Już wzbił się ku niebu, aniołek z tej ziemi,
Lecz biada tym, którzy zostali!

A. K.